

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Prztadpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie **8** koron, półrocznie **4** korony, kwartalnie **2** korony.

Redaktor kierujący: **KAZ. EHRENBERG.** Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: **WITOLD NOSKOWSKI**

Nr. 15. Kraków, dnia 14. kwietnia. 1901.

Wielki Tydzień w Jerozolimie.

Całowanie słupa przy którym Chrystus był biczowany. Wnętrze kościoła św. Grobu.



Ogólny widok na Jerozolimę. Mycie nóg 12 starcom w Wielki Czwartek.

Uroczystość w kościele św. Grobu.

„ITALIA“

przez Maryę Konopnicką. Warszawa 1901.

Znakomita poetka wydała świeżo nowy cykl swoich utworów, zatytułowanych: „Italia“. Są to wspomnienia z podróży włoskiej. Prócz wstępnego wiersza „którzy idziemy“, zawiera się w tym tomiku o podłużnym formacie parę cyklów, jako to: „Sonety włoskie“, „Po drodze“, „Prace Amora“, „Faun“, „Echa florenckie“ „Madonna“ i „W Sykstynie“.

Prócz prac „Amora“ i „Ech florenckich“ reszta utworów ma przeważnie charakter, rzec można — dydaktyczny i opisowy. Konopnicka, oczarowana skarbami sztuki, nagromadzonymi we Włoszech, przelewa swoje wrażenia w rymy, często kunsztowne, nieraz aż przeciążone opisem obrazu lub rzeźby. Nie brak też i opisów natury, lecz lira poetki zdaje się nie posiadać strun o tak żywym i przejmującym dźwięku, by mogły oddać ognisty czar, którym tchnie włoska przyroda. Niebo Italii, morze i słońce wyglądają też w jej opisie bardzo pięknie, nęcąco, lecz nieco bledziej, jak w rzeczywistości. Najpiękniejszym, jak się zdaje z krajobrazów, opisywanych przez Konopnicką będzie prawdopodobnie widok Kartuzyi, zawarty w X. sonecie:

Gdy stąd odejdę, pójdą za mną cienie
Tych arkad białych, i tych kolumn rzędy,
I szept tych oliw pójdzie za mną wszędy,
I tych cyprysów czarność i milczenie.

Gdy stąd odejdę, poruszy się drżenie
W błękitnej ciszy, co powiewa tędy,
I rozechwieją się róż bladych grzędy,
I na mych ustach czuć będę ich tchnienie.

Bowiem się struna uwiązała drżąca,
Od arfy murów tych, do mojej duszy,
Struna, co smętność i blask ma miesiąca.

A kiedy anioł, co tę harfę trąca
Dotknie się struny i jęk w niej poruszy,
Dusza się moja odezwie grająca.

Niezwykłą prostotą i siłą tchnie ustęp z „Po drodze“ zatytułowany „w San Onofrio:“

Kto chwilę ową przeżył, ten ją będzie
Miał przed oczyma i zawsze i wszędzie
— Ludzie stanęli sznurem, w długim rzędzie

Po obu stronach starej, nizkiej nawy,
Insi wstąpili na gzymsy, na ławy,
U drzwi się naród rozlał, nakształt lawy.

Bez ruchu stoją, tak fala głów zbita...
A przed ołtarzem półgłosem Mszę czyta
Wysoki, siwy mnich — Hieronimita.

Msza dziwna! Niby żałobne jej tony,
Lud stoi niemy, pobladły, wzruszony,
A z Janiculum tryumfem grzmią dzwony.

Msza dziwna! Czarno odziane kolumny,
Mar przecież niema, ni kiru, ni trumny,
A w oczach ludu blask wielki i dumny.

W kościele cisza aż duszę przenika...
W chórze gdzieś kona echowa muzyka,
Z sadów Pamfili spiew słychać słowika.

W tem u ołtarza, we czterech, po parze,
Brać benedykcyę przyklęknął murarze:
Ksiądz krzyż uczynił i powstać im każe.

Więc ku drzwiom zwrócą krok ciężki, miarowy.
A wszystkie ku nim zachwieją się głowy,
Spiew skonał w chórze stłumiony, echowy...

A u drzwi nizkich, w tym starym kościele,
Grobowa płyta pokornie się ściele,
Głaz szary, prosty, biedny, jakich wiele.

Cisza. Przez szyby przeziera dzień złoty,
Po fryzach słychać jaskółek trzepoty...
A wtem po trzykroć zadźwięknął w głaz młoty.

Lud oddech wstrzymał, a twarze, wciąż bledsze,
A od serc bicia tak drżące powietrze,
Iż się pochodnie trzęsą jak na wietrze.

Zeszli. Do ciasnej, nizkiej zeszli celi,
I na kamiennej stojącą podścieli
Trumnę niewielką na barki podjęli.

Była tak lekka, tak wolna od ziemi,
Że szli z nią prości z głowami wzniosłemi,
A dwóch braciszków szło z światłem przed niemi.

Więc gdy ją ujrzał lud, krzyk buchnął głuchy,
Krzyk mimowolny, jak pęd zawieruchy,
Tak naprężone były wszystkie duchy.

I wyciągnęły się ku niej ramiona,
A w każdej ręce gałązka zielona,
Tak szła ta trumna nad ludem wzniesiona.

Tak szła wskróś nawy, pomiędzy filary,
W bezmownym krzyku tym ogromnej miary,
A przed ołtarzem łzy pruszył ksiądz stary.

I dał znak ręką, i nagle w świątyni
Wielka się cisza wśród ludu uczyni:
Wypadły ćwieki, dzierżące wierzch skrzyni.

A gdy stuknęło o ziemię jej wieko,
Echem się trzykroć stuk odbił daleko...
Ksiądz głowę schylił z wilgotną powieką.

I długo modlił się... Aż ręce drżące
Zapuścił w prochy w tej trumnie leżące
I wyjął czaszkę i podniósł ją w słońce.

I wstała głowa ta umarła z łoża
Wieków, ta wielka, biała perła boża,
Kość sucha, w którą rzuciła się zorza.

A ksiądz tym głosem, co we łzach ugasa:
— „Prawdziwie, głowa Torquata jest Tassa!“
Lud ryknął płaczem, jak wicher wśród lasa.

Najpiękniejsze jednak naszem zdaniem, są „Echa florenckie“ w których poetka opisuje swoje spotkanie się z Teofilem Lenartowiczem. Jak wiadomo, spiewak „Lirenki“ mieszkał we Florencyi i tam odwiedziła go Konopnicka. Bytność u Lenartowicza i długie z nim rozmowy zostawiły na duszy poetki ślad niezatarty i odbiły się w całym szeregu pięknych utworów, przesiąkniętych tą dziwną tęsknicą i ukochaniem ziemi ojczystej, które stanowią główną i najpotężniejszą cechę twórczości znakomitej poetki.

Do najpiękniejszych poemacików z tego cyklu należą ustępy oznaczone liczbami I i VII.

Poznaliśmy się — do znania nie skorzy —
Poznaliśmy się o cichym zachodzie,
Anioły Pańskie już grały na zorzy,
Słońca już Arno gasiło blask w wodzie,
A nad Florencyą stał nów i srebrzyście
Na marmur biały róż białych siał liście.

Poznaliśmy się na dróg dwu rozstaju,
Z których się każda od głogów czerniła,
Na takich drogach, w dalekim stąd kraju,
Krzyż bywa stary, a pod nim mogiła...
I nagle, między wędrowne dwa cienie
Rzuciła cichość ogromne westchnienie.

Poznaliśmy się bez miana, bez pytań,
Po twarzach tylko przeszedłszy oczyma:
I powitali bez ludzkich powitań,
Szmerem fal Arno: „O salve anima!“
I nagle, między złączone uściskiem
Dłonie, uderzył nów sierpowym błyskiem.

Poznaliśmy się bez słowa, po głosie
Strun duszy, które ruszone zadrżały,
Jak polne zioła stające w łez rosie
Drżą, gdy je ruszy wiatr cichy i mały,
I nagle, między schylone nam głowy
Rzucił się wielki jęk i płacz echowy...

* * *

Więc ku Fiesole gdyśmy szli z pośpiechem,
Rzekł: Do twej duszy pielgrzymuję o to
Przez lat już tyle, rzucając się echem,
Pieśnią, tęsknotą...

Bo czas jest mały, a ja mam ci wiele
Mówić, i pytać, i słuchać w zadumie:
Co robi polne i łężne to ziele
W zbożowym szumie?...

Bo czas jest mały, a wiedzieć mi pilno
O tych wasilkach, o tych bożych — ględach,
Co zarastają drożynę mogilną,
Wonią na grzędach...

O wszelkiem zielu prostaczem i lichem
Troskę mam w sercu i drżenie mam w duszy,
I czuję dreszcz ich, gdy polem się cichem
Wiatr chłodny ruszy...

I mam ci wiele powiadać o ziołach,
Co nigdy z rosy obeschnąć nie mogą,
I całe we łzach srebrnieją po siołach,
Albo nad drogą.

I pilno wiedzieć od ciebie mi trzeba
O tych dziewannach, co świecą w ugorze,
I o konwaljach dzwoniących do nieba —
Na ranne zorze...

---

11 MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Ciąg dalszy.

— Wy kupicie srebro. Targujcie się. Dziś dacie pierwszą ratę, a resztę rat płacić będziecie co tygodnia. Płacić będziecie tak długo, jak długo będą Szwedzi. Jak Szwedów nie będzie, oddam raty, a wy mi oddacie srebro.

— Niech wrogi nasze robią takie interesy. Cóż my z tego mamy?

— Co wy z tego macie? Wy się nazywacie Jankiel Warszawski?

— Ja.

— Przemycaliście wino do Bochni?

— Trochę tylko.

— Wy, Srulu Moszkowiczu, choć dekret królewski tego wzbrania, skupiliście na święty Michał przez faktorów wszystko zboże, aby na przednowku z lichwą go mieszczaństwu sprzedać.

— Ja nie kupował proszę waszej wielmożności. Ja mało co kupował.

— Otóż słuchajcie. Dotąd puszczałem to płazem, bo w mieście było dość chleba, pożywcie się i wy jako bliźni moi. Jeśli jednak srebra nie kupicie, to złapawszy was na pierwszym lepszym takim interesie, pasy z was na ratuszu drzeć każę.

— Aj! waj!

— Kupicie tedy? Furmanki i koszta płacę.

— Zrobimy tę grzeczność waszej wielmożności.

— Jechać tedy zaraz ze mną do Bochni, bo pan pułkownik ma płótno w kieszeni.

— Jedziemy.

Burmistrz, który na rozkaz sprowadzenia żydów natychmiast na Wiśnicz wyjechał, siedział z powrotem na wozie, załatwiwszy po swej myśli i myśli pułkownika sprawę. Zmierzchało się, gdy ruszył w drogę. Wspaniały zamek Stanisława Lubomirskiego „grabiego na Wiśniczu“ zapłonął światłami, a z otwartych okien tony rozkosznej muzyki płynęły aż na rynek cichym a dźwięcznym echem. Ciszę i harmonię wieczoru przerwał nagle strzał armatni, a wnet drugi, a bałwan białego dymu uniósł się z murów zamku w powietrze. To przyszły bohater z pod Mątew wnosił zdrowie swego druha Jana Leszczyńskiego.

* * *

Żydzi tymczasem wiśniccy dziwnie jakoś po odjeździe burmistrza popatrzeli na siebie.

— To nie jest żaden interes!

— Un gorszy od żyda!

— Trochę złodziej!

— Un jest całkiem złodziej!

— Ale kupić srebro trzeba, pomódz mu w potrzebie. Un da żyć i żydom.

Pod ratuszem stała furka, na którą wsiadło czternastu żydków. Furman zaciął konia i ruszył w ślady burmistrza. Jechał on o staje naprzód. Zapadała jasna noc letnia, a lekki wschodni wiatr płynął po łanach pszenicznych, chyląc ich kłosy, ślizgając się po jarych jęczmionach i srebrnych polach żytnich. Lasy kopalińskie szumiały tajemniczym drzew rozhoworem, w nieprzebytych zaś gąszczach świerków syczał wiatr, chwiejąc obwisłemi w dół gałęziami.

Konie jak, zwyczajnie do stajni, pędziły szybko przez pola i w mig przebyły las, za którym widać było zbójecką karczmę na Hużborni i pierwsze domy przedmieść bocheńskich.

Już na krańcach lasu, gdy gąszcz dębin zrzedła, roztworzył szeroko oczy burmistrz, bo na niebie malowało się zjawisko nadzwyczajne.

Wszak to nie wschód słońca, nie rano, a księżyc już dawno zapadł za dalekie bory. Nad rąbkiem góry świeci słaby jakiś blask złoty, rośnie chwilę i znowu maleje, aby na nowo rozgorzeć. W kilku mgnieniach oka buchnął krwawy słup dymu do góry, a pożoga wysyłała w niebo kaskady rakiet, jakby świec smolnych i gwiazd latających.

— Jedź, co koń skoczy. Gore!

— Miasto nasze się pali, zakrzyknął z płaczem furman.

Konie piorunem leciały na górę, a przed oczami podróżnych roztoczył się okropny obraz nieszczęścia i klęski. Ulica Klasztorna i Rzeźnicka stoją w ogniu. Przy Gazaris i „przed bramą krakowską“ zajmują się zwolna dachy, a Postrzygaszowska góra wraz z Florencyą i szybem Floris jest kupą żaru, jedną wielką masą płomieni, wśród której najjaskrawiej palą się szyby żupy i domy Karbarzowskiego.

Grotkowski, człowiek żelaznego hartu ducha, który nigdy w nieszczęściu zimnej krwi ni równowagi nie tracił, opuścił jednak na ten widok ręce i rzekł:

— Zaprawdę, widzę, że nas już Bóg opuścił. Wszystko przeciw nam.

Rzewne łzy lały się z oczu burmistrza, gdy wjeżdżał w Sądecką bramę. Już nie wiedział co począć, gdzie się zwrócić. Ratować nie ma co, bo na stu miejscach równocześnie z pożarem walczyć nie można. Trzeba zdać się na wolę Bożą, na łaskę okropnego żywiołu.

Dzwony biły wszystkie, a ludzie latali po mieście jak szaleni, wołając:

— Szwedzi miasto rabują!...

Minąwszy mury miasta, przystanął burmistrz przy tłoczącej się gromadzie ludzi uciekającej w rynek wolny od pożaru. Dopadł wśród nich kilku górników.

— Ludzie, czy szyby zatkane i od ognia wolne?

— Nie wiemy waszmość panie.

— Siadać ze mną.

Wskoczyło na wóz kilku górników, a konie popędziły do szybu Floris, którego piramidalny dach kieratu i budynek szybu wyglądał zdala na wielką płomienną pochodnię.

(C. d. n.)

To wszysko mów mi — bo jest już czas mały,
A w duszy suchość gorąca dopieka...
Powiadam tobie: dziś czuję dzień cały
Woń pól zdaleka!

I szedł, ciągnąwszy ramiony przed siebie,
W oczarowaniu niezmiernej tęsknoty...
A od Fiesole sierp błysnął na niebie,
Modry i złoty.

Najpotężniej, choć może nieco za obszernie opowiedziała Konopnicka grozę Sądu ostatecznego bijącą z fresków Michała Anioła w kaplicy sykstyńskiej. Sposób wierszowania tego ustępu (równie jak i „Sybili“ należącej do tego samego cyklu) ma naśladować słynny, pełen fatalnej grozy hymn średniowieczny „Dies irae“.

Wogóle, ostatni ten zbiorek utworów Konopnickiej nie przemawia do serc czytelników tak głęboko jak inne jej pematy. Wina leży tym razem, jak się zdaje, wyłącznie w przedmiocie, który czasem tylko pozwala na liryczne wylewy uczucia. Zresztą Konopnicka jest poetką naszych pól, łąk i lasów, piewczynią gorzkiej doli polskiego chłopa; o kępce skoszonej trawy lub o krzyżu stojącym na rozstajnych drogach, więcej i piękniej i szczerzej nam zaśpiewa niż o cyprysowych gajach Italii i posągach, co zaklęły w sobie tajemnicę nieśmiertelnego piękna.

NA CZASIE.

Jestem obecnie w tem nader szczęśliwem położeniu, że nie potrzebuję długo się namyślać, czem by to uraczyć swoich czytelników. Poprostu biorę do ręki pierwszy lepszy dziennik lub choćby dzienniczek, otwieram go na chybił trafił, czytam i za chwilę mam już coś ciekawego.

Poczciwi ludkowie sami starają się o to, by felietoniście nie brakło materyału.

Opowiadałem już Wam o amerykańskich kompozytorach i wirtuozach polskiego pochodzenia, o angielsko-francusko-afrykańskich pisarzach, wywodzących ród z Polski i wykazywałem, że wszystkim im matkuje na balu życiowym wspólna opiekunka — blaga. Niechże teraz będzie mi wolno przedstawić jeszcze jedną figurkę z tejsamej odsłony szopki ludzkiej, człowieka, który nie mogąc na razie wzlecieć na skrzydłach swojej muzy w obłoczną krainę, kędy rozbrzmiewają puzony sławy i pękają race jubileuszów, staje przynajmniej na palce, wołając ile mu sił starczy!

— Państwo! Ludzie! A wszakże i ja tu jestem! Cóż to? Nie widzicie mnie? to ja!! Jakto kto? Ja! A jakże! Jestem, żyję, tworzę, i bardzo się gniewam że mnie nikt nie spostrzega!

Cóż bowiem innego może oznaczać taki list otwarty jak ten, który ukazał się niedawno w jednem z tutejszych pisemek:

Szanowny Panie redaktorze! W „Kuryerze porannym“ ukazała się w tych dniach notatka p. t. „Z Krakowa“, podająca wiadomość, iż sztukę p. n. „Taniec serpentynowy“ — „przedłożyłem p. Pawlikowskiemu, lecz p. Pawlikowski sztuki nie przyjął“. Ponieważ notatka ta dotknęła mnie niemile i ponieważ jest bezpodstawną, proszę o łaskawe zamieszczenie wyjaśnienia następującego, za które przesyłam z góry wyrazy serdecznej podzięki.

P. Pawlikowskiemu od czasu, gdy objął dyrekcyę teatru lwowskiego, dotychczas nie oddałem do wystawienia żadnej z moich sztuk, mimo zapraszania mnie do złożenia nowego dramatu w „Gazecie lwowskiej“ z 6 grudnia r. z. przez autora artykułu (inspirowanego przez p. Pawlikowskiego) p. t. „Odczyt“. Wyjmuję odnośny ustęp dosłownie: „Oczekujemy go (nowego dramatu) niecierpliwie i z upragnieniem w tej nadziei, że lwowska scena, tak kwitnąca pod obecnem kierownictwem, ujrzy pierwsza premierę przyszłej sztuki Kisielewskiego. Wdzięczność obowiązuje“.

Wstrzymuję się na razie od objaśnienia powodów, które wywołały to upomnienie o wdzięczności za „odkrycie“ mnie (zrobione, o ile wiem, przez Kisielewskiego i przez jury dwóch konkursów warszawskich), a zaznaczam jedynie, iż nie napisałem dramatu p. t. „Taniec serpentynowy“, nie składałem żadnego rękopisu p. Pawlikowskiemu, a natomiast wstrzymałem pozwolenie wznowienia „Karykatur“ i zrobiłem je — niemniej jak nadesłanie nowego dramatu, zawisłem od zgodzenia się na moje propozycye wystawienia „W sieci“, „Spotkania“ i „Sonaty“, których p. Pawlikowski dotychczas nie podjął.

Niemogę pozwolić na przebieranie (!) wśród moich sztuk, jak w handlu bławatnym, mam zasadę: „teatr istnieje dla autora (?) i przez autora“, a nie odwrotnie. Od tego nie odstąpię, a na bojkot (?) odpowiem bojkotem, czyli „je m'en fiche pas mal“. Raczy szanowny Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego uszanowania.

J. A. Kisielewski.

W pokorze ducha przyznaję się, że nie wiem co to znaczy *Je m 'en fiche*, lecz wierzę na słowo pani Zapolskiej, zaprzysiężonej znawczyni paryskiego argotu, która twierdzi, że te parę słówek są czemś bardzo nieprzyzwoitem. A gdy już pani Zapolska powie że coś jest nieprzyzwoite, to można być święcie przekonym że ma się przed sobą coś wielce... ciekawego. O ile mi się jednak zdaje, na stwierdzenie że powyższe sprostowanie jest nieprzyzwoitem, nie potrzeba chwytać się francuskich jego ustępów. Wszak to, co jest napisane po polsku, wystarcza zupełnie do nabrania przeświadczenia, że pan, przemawiający z tak olimpijskich wyżyn do zdumionego jego wielkości a plebsu, usiłuje przekonać »trzodę« o swym ogromie w niezbyt przyzwoity sposób.

Z tem wszystkiem jednak ów list stanowi nowy etap w dziejach twórczości p. Kisielewskiego. Dotąd tylko czytelnicy nie rozumieli tego co pisał, obecnie on sam pragnie dzielić ich żałosną dolę.

Mianowicie czytamy w tym apelu do opinii publicznej, że czupurny młodzieniec »na bojkot odpowie bojkotem«! Ależ na miłość Boską! My, biedny naród filistrów, mieliśmy już co prawda czas nauczyć się od małoletnich nadludzi, że każdy szczątek wiedzy pozytywnej ubliża samorodnemu geniuszowi, lecz mimo to nie możemy się oswoić z tem, aby pisarz, choćby dramatyczny i choćby należący do zwycięskich kohort t. zw. Młodej Polski, nie miał żadnego pojęcia o wielu słowach, których śmiało używa. Bardzo to pięknie, iż p. Kisielewski przyswoił sobie tak subtelne odcienia mowy francuskiej jak »je m' en fiche« itd. ale zapewne nie zaszkodziło by mu spytać się czasami którego z »bezmyślnej trzody filistrów« co znaczy np. »bojkot«?. Dowiedziałby się wtedy, że pojedyncze osoby nie mogą się nawzajem »bojkotować« i że choćby teatr lwowski został przezeń pozbawiony wszystkich sztuk, któremi pomnożył, pomnoży lub zamierza pomnożyć ciche zakątki odludnych półek księgarskich, jeszcze by to nie mogło zwać się bojkotem. Taksamo, gdyby p. Pawlikowski nosił się z zamiarem ohydnym wykluczenia teatru lwowskiego z rzędu świątyń sztuki, które udzielą chwilowego spoczynku sztukom p. Kisielewskiego, choćby nawet nie wystawił ani »Sonaty«, ani »W sieci« ani »Spotkania« to ten filisterski i niekulturalny postępek nie mógłby jeszcze rościć sobie prawa do nazwy »bojkotu«. Jest to niesprawiedliwe i sprzeciwiające się genialnym podrygom dramatotwórczej fantazyi ale niestety — jest prawdą.

Dopiero gdyby, broń Boże, kilku pp. Kisielewskich postanowiło nie uszczęśliwiać lwowskich i krakowskich filistrów swoimi utworami, lub gdyby p. Pawlikowski pod rękę z p. Kotarbińskim zaprzysięgli wieczną powściągliwość od nastrojowych haszyszów z fabryki p. Kisielewskiego, to dopiero można by na określenie tej fatalnej, zgubnej dla polskiego teatru czynności, wykonywanej przez jedną lub obie wyż wspomniane osoby użyć słowa »bojkot«.

Gdy chodzi o takie wyrażenie jak: praporyw, naduczucie, metajęki, astralny wicher lub sarabanda uczucia — wtedy filister »duchom twórczym« zostawia plac harców, czując, że do balansowania na lince nonsensów zawadza mu pewna szczypta zdrowego rozsądku. Skoro jednak owe »wyższe duchy« spotkają się z »tłumem« na szarym gruncie realnych pojęć, wtedy »tłum« musi wymagać od nich, aby zachowały przynajmniej pozory logicznego myslenia.

Mniejsza jednak i oto. Jeden nonsens mniej czy więcej nie odgrywa przecież żadnej roli tam, gdzie jest ich więcej. Cała ta śmiesznie zarozumiała reklamka nie byłoby niczem więcej jak tylko wyskokiem nieumyślnego humoru, gdyby nie jedna okoliczność.

Oto z wynurzeń p. Kisielewskiego widać jak na dłoni, że zamiarem jego jest »bojkotować« tylko lwowski teatr; o krakowskim niema ani słowa! I to właśnie musi przejąć obawą »filistrów«. A nuż p. Kisielewski, chcąc ukarać nadpełtwiańską świątynię sztuki, rzuci wspaniałomyślnie pod stopy grodu Kraka łańcuch swoich utworów? nuż p. Kotarbiński, przypomniawszy sobie niesłychany sukces »Sonaty«, zachce utraktować nas całym cyklem podobnych kompozycyj?

Byłby to wielki, za wielki zaszczyt dla kolebki »Młodej Polski«; poczciwy Kraków nie dorósł jeszcze do takich honorów a raczej może już z nich wyrósł. »Buda« w której gnieżdżą się takie wykopaliska jak »Faust,« takie starzyzny jak »Burza« lub tak wstrętnie tendencyjne utwory jak »Wesele«, nie jest miejscem stosownem dla prawdziwej, czystej twórczości dramatycznej....

Pertinax.

OBRAZ

przez Michała Thipars.

I.

Malarz historyczny, Alcybiades Gratteloup, wprawiał od jakiegoś czasu cały okręg Montrouge swojem zachowaniem się w niesłychane poruszenie.

Mieszkańcy ulicy Moulin Vert znali go z tego iż był skromny, łagodny, cichy i bojaźliwy jak pies obity; obecnie zmienił się z gruntu. Cienka laseczka jego dumnie brzęczała po trotoarze, kapelusz siedział zawadyacko na lewem uchu, wąs zaczesany do góry a la Wilhelm Żeglarz, jednem słowem... milioner. Widziano go, jak rozsiadłszy się na terasie kawiarni „pod lwem belforckim“, wyjął z ust niesłychanie grube cygaro i zamówił u wystraszonego tem niezwykłem zjawiskiem kelnera — szklankę piwa. Padało nań silne podejrzenie, że chodzi do pewnej restauracyi przy Rue d' Alesia, by co wieczora oddawać się tam lukullusowym ucztom (obiad kosztował tam franka 10 ct. z chlebem a discretion). Co więcej, utrzymywano nawet, że Alcybiades miał podobno kazać sobie wziąć miarę na buty. Wreszcie mały synek handlarki mleka twierdził stanowczo, jakoby słyszał Alcybiadesa Gratteloup rozprawiającego o rokowaniach, jakie prowadzi z pewnym portyerem z ulicy Didot, krawcem z zawodu, w sprawie kompletnego ubrania, złożonego z żakieta, kamizelki i spodni.

— Alcybiades dostał zatem spadek? — zapytacie.

— Nie! — spadło nań... zamówienie.

II.

Pewnego dnia siedział Alcybiades w komórce, służącej mu zarazem za kuchnię, atelier i pokój sypialny i pracował właśnie nad wielkim obrazem, zaczętym jeszcze przed 7 laty, p. t. „Kaligula przedstawia swego konia rzymskiemu senatowi“.

Naraz ukazał się jakiś obcy człowiek i przedstawił się artyście słowami:

— Jestem miłośnikiem sztuki i słysząc o pańskim olbrzymim talencie, zapragnąłem...

— Szanowny pan zanadto łaskaw, doprawdy.. zanadto — wyjąkał malarz, przeniknięty do głębi tą pochwałą. — Oto — dodał, wyciągając rękę w kierunku obrazu — oto moje najnowsze dzieło, cesarz Kaligula, przedstawiający swego konia rzymskiemu.

— Ślicznie, bardzo pięknie — przerwał gość — lecz mnie takich rzeczy nie potrzeba... Powiedzno pan, czy nie masz na składzie jakiego wołu?... Chciałbym mieć wołu, ale nie rysowanego ołówkiem, tylko malowanego olejno, olejnego wołu...

Na składzie!... Olejnego wołu na składzie?!... — Alcybiadesa począł ogarniać gniew srogi.

— Albo też krowę, dla mnie to rzecz obojętna... A może nie prowadzisz pan wcale tego artykułu? Co? — zapytał przybysz, nie zdając sobie widocznie dość jasno sprawy z natury oburzenia, które owładnęło artystę.

— Na składzie... olejnego wołu... tego artykułu... Alcybiades walczył z chęcią wyrzucenia za drzwi bezczelnego kpiarza. — Na składzie!! — A może to jaki amerykanin lub anglik? Amerykanie bywają tacy oryginalni? Dla nich wszystko jest poprostu towarem! Tak, tak, ten mały komiczny człowieczek z pewnością pochodzi z krainy dolarów... to nie ulega żadnej wątpliwości...

Uspokoiwszy się tem objaśnieniem, Alcybiades uśmiechnął się i odpowiedział, że nie ma wprawdzie w zapasie żadnego wołu, bo specyalnością jego są obrazy historyczne, lecz może natychmiast zabrać się do pracy i stworzyć coś godnego siebie. Właśnie ma wspaniały pomysł: trzoda na pastwisku; krowy i woły leżące w gęstej soczystej trawie, po prawej ręce las, po lewej ruiny świątyni Dyany...

— A więc dobrze — przerwał amerykanin. — Nie potrzebujesz pan wszakże robić całej trzody; mnie potrzebny jest tylko jeden wół lub jedna krowa, co pan woli. Mogę też panu darować ruiny świątyni, nie chcę ruin. Powtarzam panu, że potrzeba mi tylko jednej jedynej krowy, lub jednego jedynego wołu!

— Możeby dać wołu, to będzie poetycznej — zauważył artysta.

— Dobrze niech będzie wół. Ale — ciągnął dalej miłośnik sztuki — wół musi mieć metr wysokości.

— Metr wysokości? — powtórzył Gratteloup, zdziwiony nieco tym warunkiem.

— No tak, mniej więcej — dodał uspokajająco nieznajomy.

— A jakżeż będzie z ceną? Co pan myśli o... 50 frankach? Płótna ja dostarczę... Zgadzasz się pan na to?

I chcąc rozprószyć ostatnie ślady wahania się artysty, dodał jowialnie:

— Za metrowego wołu 50 franków. Czy wiesz pan, że w takim razie na każdy centymetr przypadnie 10 sou?... Tak, tak — westchnął — wiem, że się rujnuję, ale cóż na to począć? Ubóstwiam sztukę i nie potrafię targować się z artystą.

Czyż możebnem było odrzucić propozycyętak światłego mecenasa sztuki? Gratteloup przyjął warunki i zobowiązał się do dostarczenia w ciągu dni ośmiu wołu o wysokości stu centymetrów.

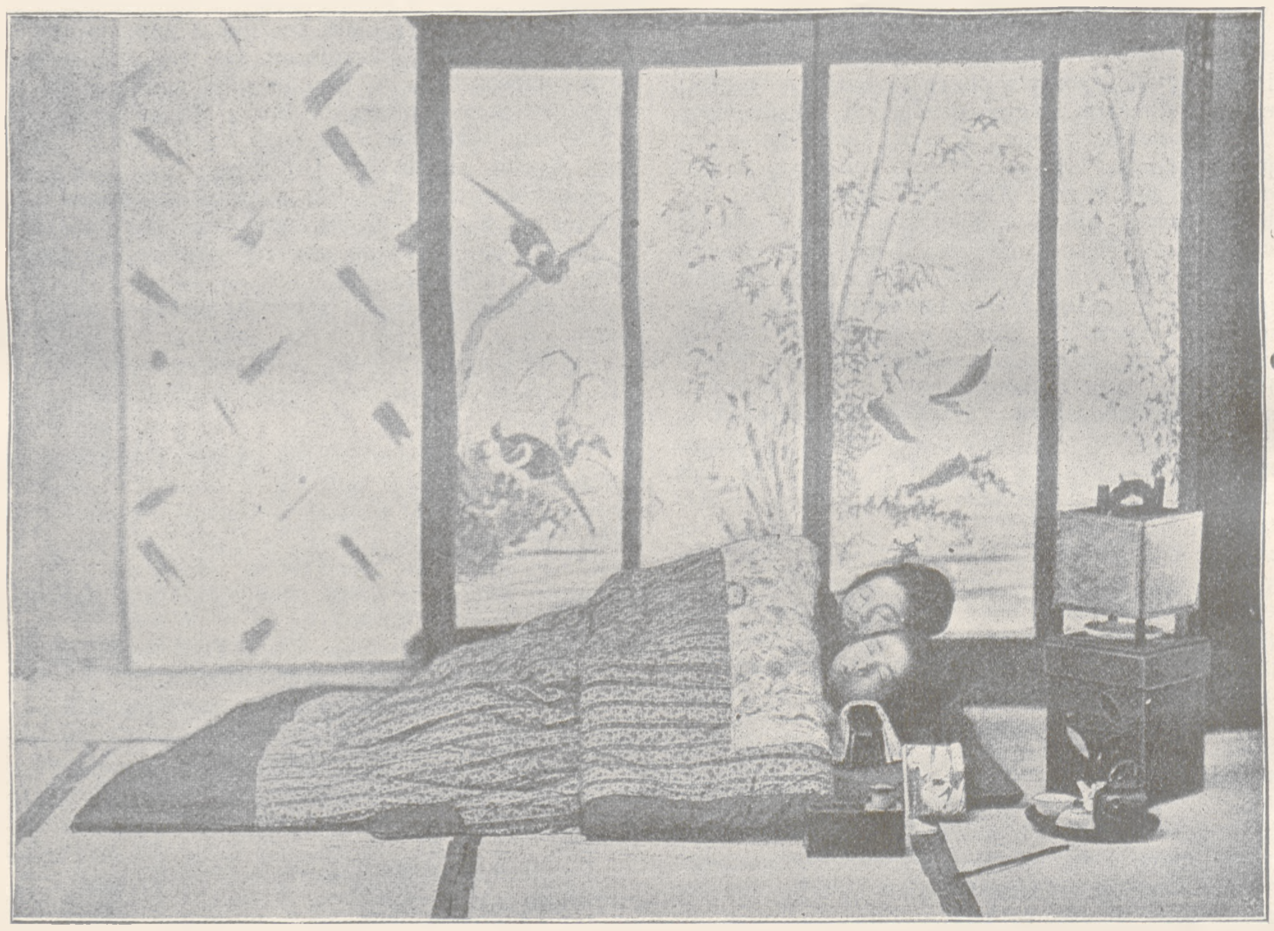
— A daj mu pan porządny kolor! — zalecił mały człowieczek.

— Jak widzę, studyowałeś pan specyalnie koloryt — odparł Gratteloup, mrugając. — Szkoła Delacroix? Czy nie tak?

— Co prawda, nie chodziłem wcale do szkoły — odparł amerykanin, śmiejąc się — lecz to nie ma nic do rzeczy... weź pan ładne kolory: czerwony, zielony, niebieski, dużo, dużo farby! Choćby nawet miało kosztować o czterdzieści sou więcej, nic nie szkodzi!

I odszedł, zostawiwszy jeszcze artyście swój adres: „Józef Janslen, Rue de la Glacière 227“.

Z państwa Mikada.



Jak sypiają Japonki.

W kilka godzin później Gratteloup otrzymał przez posłańca płótno i zabrał się natychmiast do roboty.

III.

Od tego dnia rzucił się nasz artysta w wir niesłychanej rozrzutności, który, w dalszej konsekwencyi wypadków, miał go zanieść aż do kawiarni „pod lwem belforckim“, do restauracyi na Rue d' Alesia i do portyera przy ul. Didon. Wir ten pochłonął odrazu niewielkie jego oszczędności.

Lecz cóż stąd? Czyż nie miał ciągle przed oczyma owych pięciu złotych sztuk po 10 franków? Czy nie lśniły one na horyzoncie jego duszy nakształt pięciu jasnych słońc? To też praca szła mu prędko, a gdy obraz wysechł już zupełnie, Gratteloup zawołał posługacza, obciążył jego barki metrowym wołem i udał się drogą, wiodącą do Rue de la Glacière 227. Posługacz szedł przodem, Gratteloup postępował za nim i uśmiechał się do przechodniów, którzy stawali, przerażeni nawałem krzyczących kolorów, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Tak, tak, to ja malowałem ten obraz!

Pochód zatrzymał się przed domem Nr 227. Alcybiades wszedł do środka i znalazł się na podwórzu, odgraniczonem na wschód szopą zaopatrzoną w zakratowane okna, na zachód zaś olbrzymią kupą gnoju, po której spacerowały kury. Nad tym pejzażem unosiła się straszliwa woń zepsutego mleka.

Na widok artysty zerwała się z kupy gnoju jakaś mała dziewczynka, ubrana w nader niekompletną garderobę i poskoczyła ku domowi, piszcząc na całe gardło:

— Ojczulku, ojczulku! Wół już jest! Ojczulku!

Na to wyszedł ze stajni mały człowieczek w niebieskiej bluzie, z gołymi nogami, których stopy tkwiły w drewnianych sabotach, podczas gdy na rozmierzwionym łbie królowała brudna czapka Był to „amerykanin“. Zobaczywszy wołu przypadł doń w zachwycie i począł ryczeć co mu sił starczyło:

— Małgosiu! Małgosiuuuuuu!

Natychmiast ukazała się pani Janslenowa, gruba niewiasta z rudemi włosami, w towarzystwie pięciu mniej lub więcej nieumytych Jansleniątek i cała rodzina Janslenów poczęła na widok wołu tupać nogami, w znak najwyższego entuzjazmu i podziwu.

— Ach, Boże, jakież to śliczne!

— Chciałoby się ugryźć tego kawałek! — zawołał małżonek. — Gratuluję panu, panie Gratteloup; natychmiast ustawię pańskie arcydzieło. Już wszystko przygotowane, haki wbite w ścianę, potrzeba tylko zawiesić płótno... Czy nie pomógłby mi pan trochę?

Mówiąc to, mecenas sztuki wziął drabinę i wyszedł na ulicę.

Alcybiades szedł za nim, czując że zimny pot oblewa mu skronie.

Och! Jakież to straszne! Jak okropne! Szyld. Tak jest! „Wół na pastwisku“ arcydzieło malarza historycznego Alcybiadesa Gratteloup, miał służyć za szyld! Straszne!

Za chwilę obraz wisiał już na wysokości pierwszego piętra, pod nim zaś jaśniało olbrzymiemi literami:

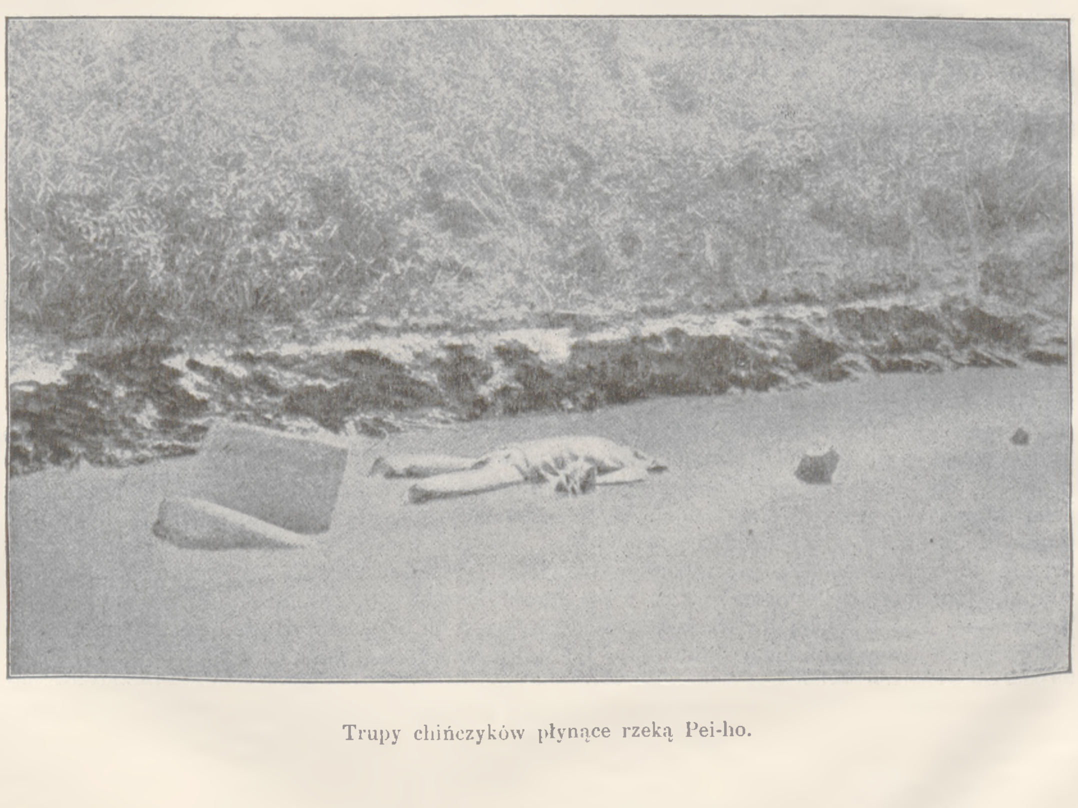
Mleczarnia Janslena.

Nieco niżej, mniejsze zgłoski objawiały światu co następuje:

Co wieczór i co rano świeże mleko.
Codziennie świeże jaja.

O hańbo o wstydzie! Naturalnie Alcybiades zaprotestował przeciwko temu jak najenergiczniej w imieniu sztuki i honoru swego, jako artysty. Przecież do **takiego** użytku nie przeznaczył swego dzieła i nie mógł ścierpieć, aby owoc jego myśli i dziecię jego fantazyi zostało zepchnięte do

Z wojny chińskiej.



Trupy chińczyków płynące rzeką Pei-ho.

banalnej roli zwyczajnego szyldu! Oburzenie uczyniło go nawet wymownym, lecz Janslen wykazał mu z niemałym zasobem elokwencyi, że skrupuły jego miały swoje źródło w prostem uprzedzeniu. Czyż artysta nie staje się sławnym przez to, że wszyscy oglądają jego dzieło? Czyż dbały o swoją sławę malarz nie wolałby umieścić swoje dzieło w jakiemś muzeum np. w pałacu luksemburskim, aniżeli w prywatnem mieszkaniu jakiegoś bankiera?

— I to racya — potwierdził Gratteloup.

Bo i naprawdę, czy ulica nie jest właściwie muzeum, odwiedzanem ustawicznie przez coraz to nową publiczność? Janslen mówił tak pięknie, tak pochlebnie i z takim podziwem dla obrazu, że Alcybiades zaczął nareszcie powtarzać za nim z wyrazem szczerego przekonania:

— Ulica — to muzeum!

— A teraz, panie Gratteloup, sądzę, że nie odmówisz pan nam przyjemności ugoszczenia cię skromnym obiadkiem?

I Alcybiades zjadł z państwem Janslenami obiad. Była to uczta wielce bezpretensyonalna. Przez cały jej ciąg nie ustawano piać hymny pochwalne na cześć twórcy obrazu. Po kawie Janslen wstał i odezwał się do swego gościa:

— A teraz uregulujemy naszą sprawę: przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem!

Alcybiades zadrżał z radości. Za chwilę miał otrzymać złoto, pięć dziesięciofrankowych słońc, cały majątek!... Formalnie promieniał. Mały człowieczek zaprowadził go do sypialni i rzekł poufale:

— Muszę się panu przyznać, kochany panie Gratteloup, że obecnie jestem w nieco kłopotliwem położeniu, mianowicie miałem wczoraj do płacenia weksel...

— Tak — mruknął malarz, ściągając brwi.

— Lecz nie bój się pan, rozchodzi się tylko o parudniową zwłokę. Jutro, najpóźniej pojutrze będę już mógł uiścić całą sumę. A więc pojutrze, panie Gratteloup, z pewnością pojutrze.

W dwa dni potem zajechał na podwórze domu w którym mieszkał Alcybiades, zamknięty wóz z którego wysiadł Janslen.

— Niestety, jestem jeszcze w bardzo ciężkiem położeniu pieniężnem, panie Gratteloup — odezwał się do malarza, który z rozkosznym uśmiechem wyszedł naprzeciw niego.

— O, do dyabła!

— Ale mam pewną myśl. Nie mogąc wyrównać swego długu w pieniądzach, pragnąłbym uiścić się zeń *in natura.*

— *In natura?* — zapytał Alcybiades silnie zdumiony taką propozycyą.

— Tak jest — odparł jowialnie Janslen. — Hej! Piotrze! przynieśno to, com ci mówił!

Ostatnie słowa były skierowane do chłopaka, towarzyszącego Janslenowi.

Z wnętrza wozu dał się słyszeć jakiś dziwny szmer. Alcybiades mało co nie runął na wznak, gdyż w jednej chwili u stóp jego znalazło się .. cielę! Żywe, ryczące cielę!

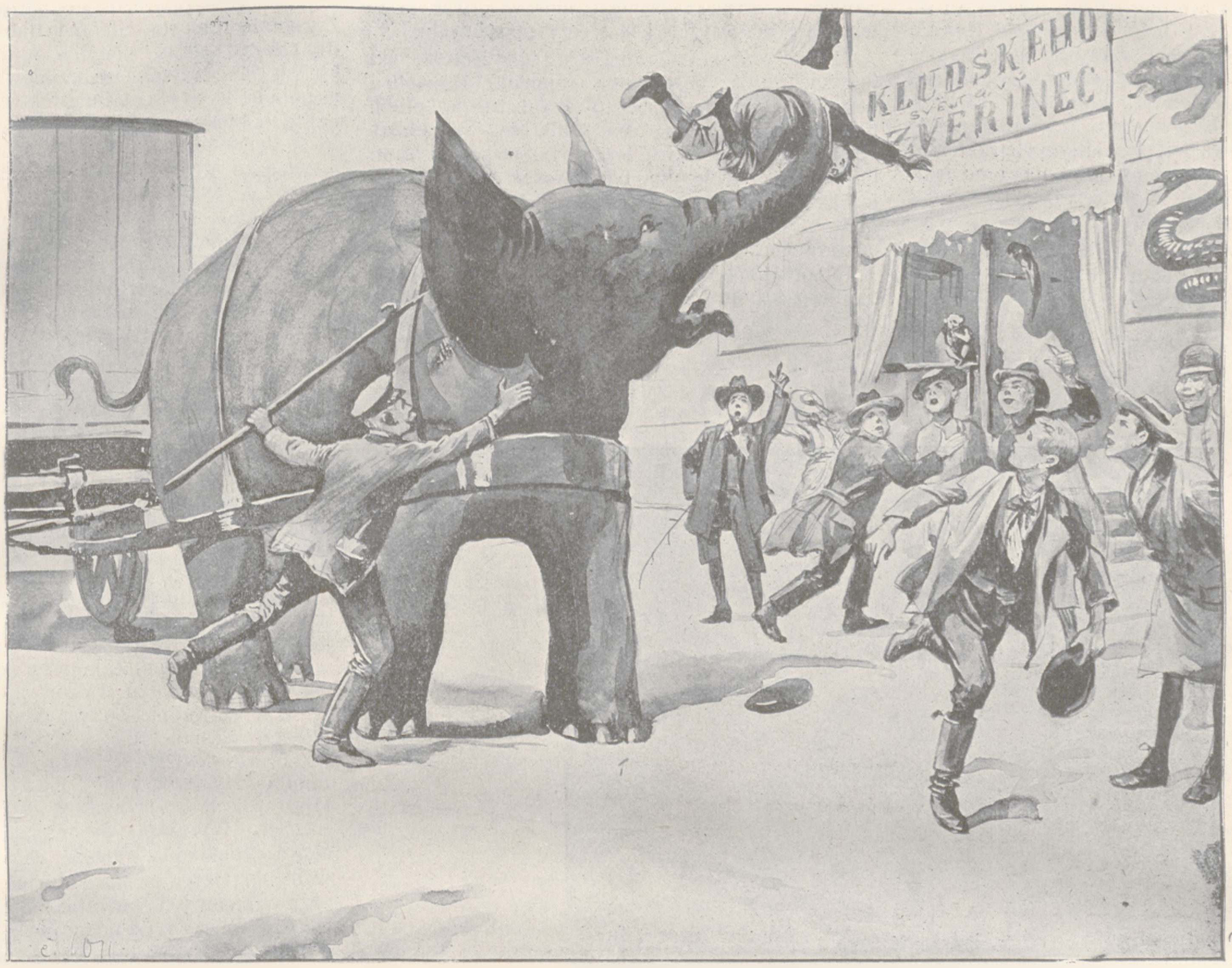
— Tak! — odezwał się mleczarz z zadowoleniem i dodał, klepiąc zwierzę po karku:

— Na targu dostaniesz pan za nie co najmniej 80 franków. Między braćmi — warte tyle! Nie dziękuj pan! Zapewne chcesz pan powiedzieć, że to suma większa od tej, którą ci przyobiecałem; mogę cię jeszcze raz zapewnić, że nie targuję się z artystami, gdyż kocham sztukę!

Po tych słowach wskoczył do wozu, chcąc zapewne uwolnić się od wszelkich objawów wdzięczności, schwycił za cugle i galopem odjechał z podwórka. Gdy Alcybiades, przyszedłszy nieco do siebie po tym strasznym ciosie, otworzył usta celem zaprotestowania, był już sam, sam jeden na środku podwórka z cielęciem, które korzystając z otwartych drzwi udało się natychmiast do atelier.

Noc, która nastąpiła po tych wypadkach, była poprostu straszna. Cielę szalało po całem atelier, nie troszcząc się wcale o arcydzieła, padające ofiarą jego małych rożków. Daremnie usiłował Alcybiades w przystępie rozpaczliwej odwagi zacząć z niem walkę. Cielę odzierżyło pole walki! Co więcej, bezczelny czworonóg nadużył praw

Niemiły wypadek.



Słoń porywa trąbą dokuczającego mu ulicznika.

zwycięscy, rozpruwając brzuch Kaliguli i drąc na szmaty jego konia; na uwieńczenie swej wandalskiej roboty, potwór odgryzł głowy trzem rzymskim senatorom... Po niedługim czasie atelier było jedną kupą gruzów, nad którymi dumał ponuro Alcybiades, niby Maryusz nad ruinami Kartaginy.

Dokonawszy dzieła zniszczenia, cielę poczęło nudzić się i beczeć. Beczało, póki mu tchu starczyło, beczało w straszny sposób aż do białego rana, nie zważając na zaklęcia Alcybiadesa. Jednem słowem beczało jak cielę, którem też zresztą było. Wzywało swej matki. Ryk ten brzmiał pośród milczenia zalegającego cały śpiący dom ze śpiącymi mieszkańcami, nakształt syreny statku parowego. Jeden ze sąsiadów otworzył nawet okno, krzycząc z przerażeniem:

— Pali się!

Wczesnym rankiem wymówiono malarzowi mieszkanie podług wszelkich reguł, a w południe otrzymał wezwanie do policyi z powodu zaburzenia spokoju publicznego.

Ohydny czworonóg zakończył życie dnia następnego z powodu otrucia. Nie mógł strawić trzech senatorów. Artyście wymierzono w policyi grzywnę, dosięgającą wraz z kosztami sumy jakich czterdziestu franków.

IV.

Od tego czasu Alcybiades Gratteloup spochmurniał i zrobił się milczącym. Około warg jego snuje się gorzki uśmiech zawiedzionych nadziei. Gdy w knajpie, do której uczęszcza „cyganerya“ jest kiedy mowa o sztuce i gdy nalegają nań, by wyraził swoje zdanie o tej lub owej kwestyi estetycznej, — wznosi melancholicznie oczy ku niebu i daje ujście swym myślom w następujących zagadkowych słowach:

— Jedynie malarstwo historyczne jest coś warte; wszystko inne to szwindel! Na przykład dajecie komuś wołu, a co się wam za to dostaje? Cielę!

Jeszcze o »królach«

Wesoły, bawiący się i szalejący Paryż był zawsze ostoją i przytułkiem dla zbankrutowanych książąt i zdetronizowanych lub oczekujących tronu — królów.

„Najlepiej szło“ jednak w Paryżu bez kwestyi za czasów drugiego cesarstwa. Nie dla tego, ażeby panowała większa swoboda i luksus się więcej wtedy w oczy rzucał niż dziś. Jesteśmy przyzwyczajeni uważać tę epokę za sam wykwit zepsucia, wyuzdania i rozpusty. Mój Boże! Przypomnijmy sobie tylko ówczesne komedye, operetki i kuplety, uchodzące za coś skończonego w wyuzdaniu, jakżeż poprostu niewinnemi i uczciwemi wydadzą się nam w porównaniu z dzisiejszą strawą tego rodzaju. W Paryżu, królami „świata bawiącego się“ są dziś źle wychowani synowie amerykańskich milionerów, którzy nie mogą wynaleźć sobie dogodniejszego sposobu wyrzucania pieniędzy, nad moczenie nóg w starem, drogiem winie. W tym Paryżu inaczej bawiono się dawniej i było, rzec można, więcej elegancyi, więcej pozorów poezyi czy artyzmu, w... wyrzucaniu pieniędzy i rujnowaniu zdrowia.

— „Jestem Wielką Księżną Gerolstejn — zawołała dumnie śpiewaczka, mierząc z wysokości faetonu oficera, po czem tenże z głębokim ukłonem dopomógł jej wysiąść z powozu i w bramę przepuścił.

Na jakież już zresztą nie patrzał Paryż skandale i awantury głów koronowanych! Ten sam Paryż, który następcę niderlandzkiego tronu, zamiast „le prince d'Orange“ złośliwie „le prince Citron“ przezwał dla jego słabowitej natury i wyniszczenia wiecznem łobuzowaniem się — ten sam Paryż kładąc go po kilkuletnim pobycie w swych

Z wojny chińskiej.



Jeden z pałaców cesarskich w Pekinie.

Polityczny ucisk, który tak bardzo dał się we znaki Francji za Napoleona III. — dawał przynajmniej ludziom jedną możność: bawienia się tak jak, dzisiejsza wolność polityczna daje im możność od rana do wieczora z trybun i szpalt pism obrzucania się wzajemnie — błotem. I kobiety nadające temu życiu ton były inne w owe czasy. Taka Hortenzya Schneider — do dziś dnia żyjąca jako poważana kapitalistka — taka Cora Pearl, Margot Dellanger, nie przesądzając mozolnej ich wartości, były bądź co bądź kobietami słynącemi szeroko po za granice Francyi dowcipem, nierzadko rozumem często zaś talentem.

O Hortenzyi Schneider, najlepszej przedstawicielce bohaterek Ofenbachowskich na scenie, opowiadają, że w Paryżu podczas zjazdu książąt i głów koronowanych, z okazyi wystawy w roku 1867, uparła się wziąć udział w wydanym przez klub książąt bankiecie. Zajechała tedy eleganckim powozikiem przed wspaniały portal, gdzie oczywiście została zatrzymaną przez dyżurnego oficera.

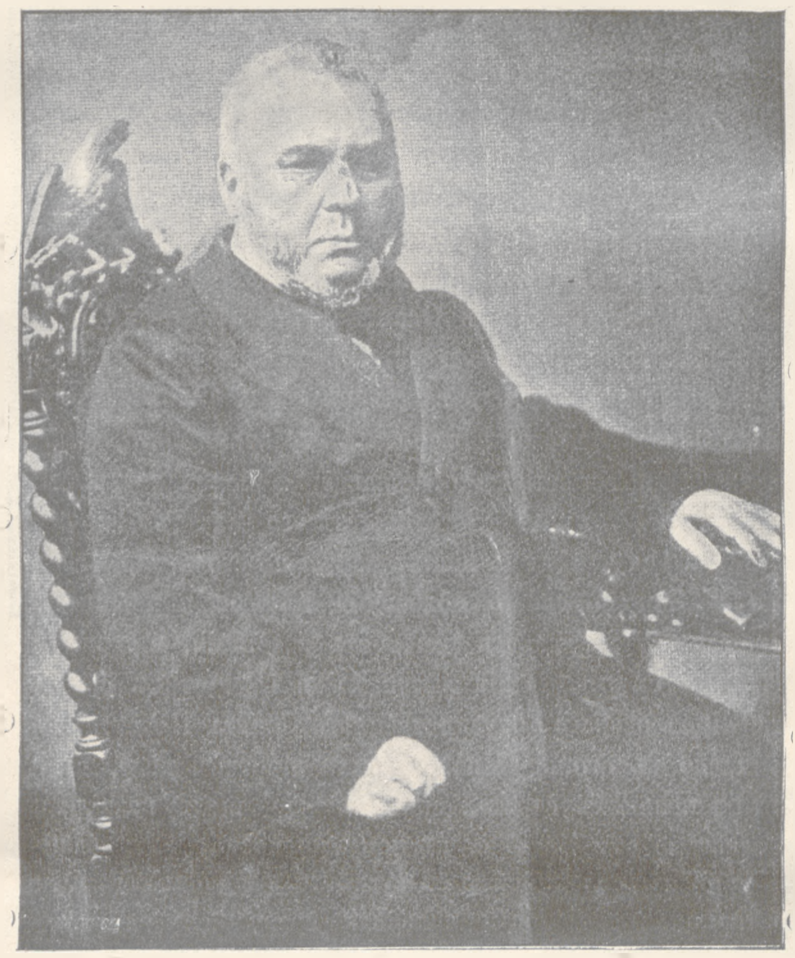
murach do grobu, szczerze go żałował, ubolewając nad słabą konstytucyą i śmiercią nieboszczyka. Tenże sam Paryż wiedział przecie o tem, że i ojciec zmarłego księcia, król Wilhelm III. hollandzki podczas uczty weselnej z okazyi zaślubienia swej drugiej żony, z domu księżny Emmy Waldeck, popadł w tak groźny stan omdlenia, że zaledwie 2 doktorów pracując przez 5 godzin na nim doprowadzić go do przytomności było w stanie. Wystarczy zaś powiedzieć, że szwajcarski kantor Wadt królowi, który posiadał nad genewskim jeziorem willę, zabronił pobytu w swych granicach, z powodu jego skandalicznego i niemoralnego prowadzenia się...

Naturalnie, że nie wszyscy książęta i królowie zachowują się tak niegrzecznie i nie wszyscy doprowadzają aż do wypowiedzenia im gościny.

Za przykładem Napoleona III., który chętnie zanurzał się od czasu do czasu w gwałtowny wir uciech, paryskich czynił to samo i prezydent Feliks Faure, który jak wiadomo lubiał udawać praw-

dziwego monarchę, a w którym oficyalny pocałunek cara Mikołaja II. na dworcu w Chalons, obudził manię wielkości. I wesoły Milan uciekał tu od swej połowicy, i król belgijski Leopold II., podobnie jak książę grecki Jerzy i wzbudzający obecnie zachwyt paryżanek rudobrody Wielki książę rosyjski Aleksander, który na Champs Elysées posiada stale wynajmowane apartamenty i część roku przebywa w „prywatnym charakterze“ w murach Paryża, by zapomnieć na czas jakiś o „ciężarze powołania w. księcia“, przypomnieć zaś sobie operę paryską i foyer baletu.

Z dziejów styczniowego powstania.



Margrabia Aleksander Wielopolski.

Margrabia Wielopolski.

W 3 tomowem dziele M. W. Berga „Zapiski o powstaniu polskiem“ 1863 i 1864 r., (Kraków, nakładem Spółki wydawniczej polskiej) z którego podaliśmy już czytelnikom sylwetkę Gorczakowa, znajduje się również następująca charakterystyka margrabiego Wielopolskiego, który jak wiadomo zarówno w historyi dni poprzedzających powstanie jak i podczas samego powstania olbrzymią odegrał rolę.

W połowie XVI wieku biskupem płockim a następnie krakowskim był Piotr Myszkowski, znany w dziejach z głębokiej wiedzy i zamiłowania do nauk i sztuk pięknych. Umierając pozostawił swoim synowcom, Zygmuntowi i Piotrowi Myszkowskim, ogromny spadek, wynoszący w samych kapitałach 8 milionów ówczesnych złotych, oprócz dóbr ziemskich: Chrobrza, Mirowa, Księża wielkiego i Pinczowa, w województwie krakowskiem; Oryszowa i Szymanowa w województwie mazowieckiem, oraz Wieprza na Ślązku.

W pięć lat po śmierci stryja, Zygmunt Myszkowski otrzymał od papieża Klemensa VIII-go tytuł margrabiego, a książe mantuański, Wincenty Gonzaga, przybrał go do swego herbu i nazwiska.

Nowy margrabia wraz z bratem swoim Piotrem utworzył w 1601 roku ordynacyę imienia Gonzagów Myszkowskich.

Ku końcowi XVII wieku ostatni ordynat z rodu Myszkowskich umierał bezdzietnie. Córka jego brata, Anastazya, była wydaną za Jordana, wojewodzica bracławskiego. Założyciel ordynacyi, Zygmunt, oprócz syna miał córkę Annę, wydaną za Mikołaja Komorowskiego. Syn z tego małżeństwa, Krzysztof, był ożeniony z Przytycką i pozostawił jedyną córkę Krystynę, zamężną z Janem hr. Wielopolskim, stolnikiem a następnie wielkim kanclerzem koronnym (1678 roku).

Syn ich Franciszek hr. Wielopolski wszczął z Jordanami proces o ordynacyę Myszkowskich. Po wielu sporach w sądach i wielu zajazdach, ostatecznie Wielopolski wygrał. Trybunał Lubelski przyznał jego rodowi prawo na dziedziczenie ordynacyi Myszkowskich i używanie tytułu margrabiego.

Starszy syn Franciszka, a drugi ordynat z domu Wielopolskich, Karol hr. Wielopolski, margrabia Gonzaga-Myszkowski, koniuszy, a następnie wielki chorąży koronny, zajmował się z upodobaniem literaturą: pisywał polskie i francuskie wiersze i tłómaczył wiele rzeczy poważnych.

Trzeci ordynat, Franciszek, syn Karola, żył już za czasów Stanisława Augusta. Prowadził dom nadzwyczaj wystawny i zabrnął w długi. Chciał uporządkować swe interesa, sprzedając część dóbr ordynackich, lecz mimo usilnych starań na sejmie czteroletnim, nie uzyskał na to zezwolenia. Po zaszłym następnie rozbiorze kraju, ordynacya myszkowska znalazła się w zaborze austryackim, gdzie prawa ordynackie nader ściśle były przestrzegane. W 1809 roku margrabia Franciszek umarł, a w tym samym czasie ta część kraju została przyłączoną do księstwa Warszawskiego, w którem obowiązywał kodeks Napoleona, nie uznający substytucyi, a zatem majoratów i ordynacyi. Jednak prawo to nie posiadało wstecznego działania na majoraty już istniejące. Nie zważając na to, Józef Jan Nepomucen, syn Franciszka, a czwarty ordynat z rodu Wielopolskich, znalazł sposoby sprzedania części posiadłości ordynackich. Przeciw tej sprzedaży zaprotestował najbliższy następca bezdzietnego ordynata, Józef Stanisław hr. Wielopolski, stryjeczny stryj margrabiego. Wszczął się spór sądowy, który skończył się ugodą, zawartą dnia 7. kwietnia 1813 roku, mocą której Józef Stanisław otrzymał od ordynata wraz z tytułem margrabiowskim klucze: Chroberski, Książski i Kozubowski wzamian za zrzeczenie się w imieniu własnem i innych agnatów wszelkich praw i pretensyi do innych dziewięciu kluczów, składających ordynacyę.

Margrabia Józef Stanisław był ojcem Aleksandra Ignacego Jana Piotra czterech imion hr. Wielopolskiego, Margrabiego na Mirowie, Gonzaga-Myszkowskiego, urodzonego dnia 13. marca 1803 roku w Sendziejowicach pod Pinczowem, którego dalsze koleje właśnie mamy opowiedzieć.

Rodzice nie szczędzili żadnych kosztów, by jedynakowi dać najstaranniejsze humanitarne wychowanie. W domu zaczął się uczyć języków starożytnych, historyi, geografii, prawa — obok języków nowożytnych; następnie oddano go w Wiedniu do Theresianum, skąd poszedł na uniwersytet warszawski. Dla uzupełnienia i wykończenia pobieranych nauk, słuchał jeszcze wykładów najznakomitszych profesorów w Getyndze i Paryżu, i w listopadzie 1824 roku otrzymał stopień doktora filozofii. Na nalegania matki oddawał się szczególniej prawu, studyował kodeks Napoleona, a to, aby z czasem objąwszy zarząd majątku, mógł napowrót przywrócić i powołać do życia dawną ordynacyę Myszkowskich w rozmiarach i granicach, zakreślonych przez jej założyciela za czasów Zygmunta III.

Młody margrabia od dzieciństwa słyszał z ust matki o świetności dawnej ordynacyi i marzył zawsze o odzyskaniu nieprawnie, jak był przekonanym, oderwanych włości z wspaniałej fortuny swych przodków. Głośne ich imiona, od dzieciństwa znane mu były tak dobrze, jak pacierz codzienny. szczególniej zaś postać Piotra na Mirowie Myszkowskiego, sławnego męża stanu i uczonego, żyjącego za szczęśliwych czasów Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III, którego sława nietylko w Polsce, lecz i po ościennych krajach rozbrzmiewała, jak o tem wspomina w swych nieśmiertelnych pieniach książę polskich poetów. Jan Kochanowski.

Zapamiętał on także i tę okoliczność, że miasteczko Pinczów, dawną stolicę ordynacyi, jeszcze za Oleśnickich nazywano polskiemi Atenami. Temi wyobrażeniami od dzieciństwa przesiąknięty, nic dziwnego, że uważał ród swój za pierwszy w kraju. Te poglądy obok wspaniałego, magnackiego otoczenia, te uroczyste przyjęcia, służba, herby na każdym kroku, ta uniżoność drobnej a często i niedrobnej szlachty, ścielącej się co słowo do nóg, pieszczoty rodziców, literalnie ubóstwiających syna — i także ludzi dumnych i ambitnych — wszystko to wywarło stanowczy wpływ na naszego bohatera. Wyrósł on na zimnego, zamkniętego w sobie i nieprzystępnego magnata z zakusami, datującemi się z epoki panującego feudalizmu. Zawsze miał myśl zwróconą na to, jakby się okazać wybitniej, wspanialej, przodować innym i nad wszystkimi zapanować. Co do wykształcenia w istocie nie wielu miał równych sobie wśród hulaszczej i nader powierzchownie wychowanej młodzieży; lecz co do majątku niejednego miał współzawodnika. Przed innymi wszakże przodowali Zamoyscy ze swoją olbrzymią ordynacyą, od kilku wieków nie uszczuploną.

Współzawodnictwo tych dwóch rodów widoczne nie od dzisiaj. Już w XVII wieku Zamoyski i Zebrzydowski sprzeciwiają się mianowaniu Zygmunta Myszkowskiego marszałkiem koronnym (1601 roku), co przeszło z czasem w dziedziczną niechęć. Wyrażamy się najłagodniej, bo trudno słowami dokładnie określić. co wrzało i kotłowało w najskrytszych głębiach ducha jednych i drugich. przy wzajemnych spotkaniach. Żyjąc tylko dłuższy czas w Polsce i badając bliżej stosunki, można dopiero zrozumieć takie wzajemne rodowe usposobienia.

Zapewne, dostatki odgrywają wielką rolę w życiu każdego człowieka, lecz dla magnata, dziedziczącego po przodkach znakomite nazwisko, są one koniecznością. Arystokrata bez dostatków jest uboższym od najbiedniejszego żebraka; każda korona na herbowej tarczy zblednie, gdy brak złota dla podtrzymania jej blasku.

Majątek, jaki odziedziczył po rodzicach margrabia Aleksander, był wcale znaczny, ale on czego innego pragnął. Pod tym względem chciał stanąć w pierwszym rzędzie i dlatego, skoro się tylko poczuł na siłach. z całym zapałem wziął się do odzyskania utraconej ordynacyi. A sił czuł w sobie dosyć, sił młodych i niezwykłych. Nadmiar ten musiał użyć i spożytkować w jakimkolwiek kierunku — pod obawą moralnego przekrwienia. Innego pola działania nie widział przed sobą. Służyć brutalnemu despotyzmowi, kryjącemu się pod maską liberalnej konstytucyi, wysłuchiwać dzikich krzyków, częstokroć z dodatkiem moskiewskich ulicznych wyzywań z ust W. Księcia (jakto codziennie musieli słuchać na Saskim placu oficerowie i nieoficerowie, którzy z czasem przywykli do tych wybuchów, jak do wybuchów jakiej innej brutalnej, nieokiełznanej siły), margrabia nie mógł i nie chciał; wszak nie na darmo odebrał europejskie wychowanie.

Oddany swym własnym interesom, uznał naprzód za nieprawny układ swego ojca ze stryjecznym kuzynem Janem Nepomucenem z dnia 7. kwietnia 1813 roku. Lecz przez to samo, odrzucając rozdział ordynacyi na dwie części, niejako na dwa oddzielne majoraty, któryto rozdział, wypływając z dobrowolnego, przez władzę zatwierdzonego układu, uzyskał już pewną sankcyę prawną — cofał margrabia całą sprawę dziedzictwa majątku do tego punktu, w którym ojcu jego groziła zupełna utrata spadku a nawet tytułu margrabiowskiego.

Strona przeciwna, złożona z kilku rodzin, które ponabywały od Jana Nepomucena dobra ordynackie, wybrała swym obrońcą i zastępcą zdolnego i doświadczonego adwokata, a przytem na wielką skalę spekulanta, Jana Bonawenturę Olrycha, najbardziej w tym procesie interesowanego, gdyż z ordynacyi nabył różne dobra rzekomo za $5\frac{1}{2}$ milionów złp., w tej liczbie Pinczów i Szaniec, wyłożywszy na to tylko 350.000 złp. gotówki. Ów Jan Bonawentura Olrych, z tytułu posiadania Szańca zwany potem Szanieckim, nadał procesowi charakter socyalny. W obronach swych i pismach spornych przedstawiał margrabiego jako zacofanego i chciwego arystokratę, wojującego prawnymi wykrętami, złego patryotę, który w Wiedniu, Gettyndze i Paryżu nauczył się pomiatać i poniewierać ojczystemi instytucyami i wszystkiem, co polskie. W kieleckim sądzie pierwszej instancyi, margrabia sprawę przegrał; ponieważ jednak nie należał do rzędu ludzi byle czem się zrażających, przeciwnie, napotkawszy na opór i przeszkody, nabierał nowej energii i siły, na podobieństwo jakby owej kuli działowej, która tracąc pęd, zwolna toczy się po ziemi, lecz

gdy trafi na kamień, w nowym podskoku leci z hukiem dalej, burząc wszystko po drodze — przeniósł sprawę do sądu apelacyjnego w Warszawie i tam ją w 1829 roku wygrał.

Lecz i przeciwnicy byli również wytrwali i przenieśli całą sprawę do senatu. Ogólny wszakże stan spraw kraju przerwał dalsze zapasy. Nadeszła chwila, w której wszelkie prywatne spory i procesy musiały ustąpić przed większym i ważniejszym procesem, prowadzonym przez kraj cały z obcym rządem. Ani margrabia, ani jego współzawodnik Olrych, a szczególniej ten ostatni, nigdy się od procesów tego rodzaju nie uchylali.

(C. d. n.)

Chan i syn jego.

przez Maksyma Gorkiego *).

.....„Żył raz na Krymie Chan Mossalaima-el-Aswa, który miał syna imieniem Tollaik Alhalla....“

Tymi słowy rozpoczął swoje opowiadanie ślepy żebrak, Tatar, opierając się plecami o brunatny pień cedru; opowiadał on jedną z prastarych legend półwyspu, a dokoła niego, na zwietrzałych kamieniach zniszczonego zamku starego Chana siedzieli Tatarzy w jaskrawych opończach i turbanach przetykanych złotem.

Wieczór zapadał i słońce skłaniało się zwolna w morze. Czerwone jego promienie pokrywały jaskrawą plecionką mury, obrośnięte gęstym mchem. Wiatr szumiał w wierzchołkach starych cedrów i liście ich szumiały jak gdyby w powietrzu przelewały się strumienie wody.

Głos ślepego żebraka drżał zlekka a spiżowe jego oblicze oddychało spokojem wiecznego świata. Monotonnie płynęły z ust jego słowa wyuczone na pamięć, a przed słuchaczami rozpostarł się obraz przeszłości, bogatej w potężne namiętności.

„Chan był stary“ opowiadał ślepiec, „ale w haremie swoim miał dużo kobiet. Kochały one starca, bo piękność leży w sile, a nie w delikatnej płci i różowych policzkach. Wszystkie kochały Chana, ale Chan nad wszystkie kobiety swego haremu, liczącego trzysta kwitnących niewiast, kochał kozaczkę z naddnieprzańskich stepów. W wieży, z której widać było morze, a w której kazał dla kozaczki wszystko zgotować, czego potrzebuje kobieta aby być wesołą: kosztowne stroje, kamienie, mieniące się wszystkiemi kolorami, muzykę i rzadkie ptaki z dalekich krain — w tej wieży wypoczywał po trudach życia, wiedząc że Tollaik Alhalla pomnoży sławę jego państwa. Tollaik jak wilk przebiegał rosyjskie stepy, wracał zawsze do domu z obfitym łupem, a pozostawiał za sobą postrach i spustoszone wioski i trupy i krew.

Pewnego razu Alhalla przybył znowu ze zwycięskiej wyprawy przeciw Rosyanom. Na cześć jego urządzano liczne uroczystości. Wszyscy książęta państwa przybyli na grę i uczty. Strzelano z łuku do oczu schwytanych nieprzyjaciół, by wypróbować siłę ramienia, potem pito na nowo, wielbiąc męstwo Alhalli, postrachu wrogów.

Stary Chan był dumny i uradowany ze swego bohaterskiego syna, potężnego dziedzica państwa. I chcąc okazać swoją miłość ku niemu, rzekł przy uczcie wobec wszystkich książąt, dzierżąc puhar w dłoni:

„Jesteś dobrym synem, Alhallo! Niech będzie pochwalony Allah, a niech słynie imię jego proroka! Jeszcze za mojego życia kazał on zmartwychwstać młodości mojej w synu moim i widzę moimi starymi oczyma, że będę żył — w synu swoim. Allah jest wielki, a Mahomed jego prawdziwym prorokiem; mam dobrego syna; ręka jego jest pewna serce mężne a duch jasny. Co chcesz Alhallo, otrzymać z rąk swojego ojca? Powiedz, a dam ci wszystko czegobyś zapragnął“.

I jeszcze nie zamarło ostatnie słowo starego Chana, gdy Tollaik Alhalla powstał i rzekł z błyszczącemi oczyma, oczyma czarnemi, jak morze pośród nocy: „Daj mi rosyjską kozaczkę mój ojcze!“

Chan milczał — milczał krótką chwilę, tyle czasu, ile potrzeba, by stłumić drżenie serca. Potem rzekł głośno i silnie:

„Bierz! Skończymy naszą ucztę, a później weźniesz sobie kozaczkę“.

Wtedy podniósł się bohaterski syn i rzekł do swego ojca:

„Wiem, władco, co mi darowujesz. Wiem..... Twoim niewolnikiem jestem — ja, twój syn! Bierz krew moją po kropli co godzinę. Jestem gotów dwadzieścia razy umrzeć za ciebie“.

„Nic mi nie potrzeba“ rzekł Chan, a stara jego głowa, uwieńczona chwałą długich lat, spadła mu na piersi.

Wkrótce uczta się skończyła i obaj wyszli w milczeniu z pałacu do haremu.

Noc była ciemna i z za chmur które pokrywały niebo na kształt gęstego dywanu, nie było widać ani gwiazd ani księżyca. Ojciec i syn szli długo w ciemności, aż Chan zagadał w te słowa: „Życie moje z dnia na dzień gaśnie i serce bije mi coraz to słabiej. Namiętne pieszczoty kozaczki były radością i światłem mego życia. Powiedz mi, Tollaiku, powiedz mi, czy jest ci ona tak bardzo potrzebną? Weź sto moich kobiet, weź wszystkie za tę jedną!“.....

Alhalla milczał.

„Ileż dni mi jeszcze pozostało? Niewiele dni mam jeszcze na ziemi..... Ostatnią radością mego życia jest ona właśnie..... kocha mnie, rozumie mnie; która pokocha starca, gdy jej nie będzie? która? żadna, żadna, Alhallo!“

Alhalla milczał.....

„Jakżeż ja żyć potrafię, wiedząc że ty ją ściskasz, że ty ją całujesz? Wobec kobiety, Tollaiku nie ma synów, nie ma ojców! Wobec kobiety jesteśmy wszyscy — mężczyznami, mój synku..... W boleści przejdą ostatnie dni moje..... Niechby się raczej były otwarły wszystkie rany mojego ciała, Tollaiku, o, niechbym raczej nie przeżył tej nocy, mój synu...,.“

Syn jego milczał....

Stanęli u drzwi w milczeniu z głowami schylonemi na piersi.

„Już oddawna ją kocham“ rzekł z cicha Alhalla.

„Wiem o tem..... wiem także że cię nie kocha“ odparł Chan z boleścią w sercu.

„Serce mi pęka gdy myślę o niej“.

„A co się dzieje teraz w mojem sercu?

„Miejmy litość nad sobą, ojcze.......“

Chan podniósł głowę i boleścią spojrzał na syna.

„Zabijmy ją!“ rzekł Tollaik. „Kochasz siebie więcej, aniżeli mnie i ją“ szepnął z cicha ojciec.

„A ty nie!?!“

Znowu obaj umilkli.

„Tak, i ja także“ — rzekł smutnie Chan.

„I cóż, zabijemy ją?“

„Nie mogę ci dać jej, — nie mogę“ rzekł Chan.

„A ja nie mogę już dalej cierpieć!“ odparł syn. „Wydrzej mi serce z piersi lub daj mi ją!“

Chan milczał.....

„Albo rzućmy ją ze skały w morze“.

„Rzućmy ją w morze ze skały“ powtórzył Chan echem słów swego syna.

A potem weszli do komnaty, gdzie na kosztownym dywanie spała kozaczka. Stanęli przed nią i patrzyli długo. Na srebrną brodę starego Chana padły łzy i lśniły się na niej jak perły. A syn jego stał z błyszczącemi oczyma — i zbudził kozaczkę. Ocknęła się — i na jej twarzy delikatnej i różowej jak jutrzenka zakwitły oczy jak dwa bławatki.

Nie spostrzegła Alhalli i podała ponsowe wargi Chanowi.

„Pocałuj mnie stary orle!“

„Przygotuj się i chodź z nami“, rzekł z cicha Chan. Wtedy spostrzegła ona Alhallę i zobaczyła łzy w źrenicach orła — i zrozumiała wszystko; była bowiem roztropną.

„Idę“ rzekła „idę; ani jednemu ani drugiemu. Takeście postanowili? Prawda? Tak też muszą rozstrzygać mężowie o silnych sercach! Idę —“

Wszystko troje poszli milcząc w kierunku morza. Szli wązkiemi ścieżkami.... Wiatr wył głośno.... Dziewczyna była bardzo delikatna; wkrótce się zmęczyła; ale była także dumną i dla tego nie chciała o tem powiedzieć mężczyznom. A gdy syn Chana spostrzegł że zostawała w tyle, zapytał jej: „Boisz się?“

W oczach jej zajaśniały błyskawice i milcząc pokazała mu zranioną nogę.

„Pozwól — poniosę Cię!“ rzekł Alhalla wyciągając ku niej ręce.

Lecz ona objęła szyję swego starego orła. Chan dźwignął ją silnemi ramiony. Siedząc mu tak na ręku odginała z czułą troskliwością gałęzie, by nie zraniły twarzy ukochanego. Szli, szli długo i już było słychać szum morza; wtedy Tollaik idący z tyłu, rzekł ponuro do swego ojca:

„Puść mnie przodem lub przewiercę Ci kindżałem szyję.“

„Idź, Allah ci przebaczy lub ukarze cię, wola jego. Ja, ojciec przebaczam ci, bo wiem co to miłość.“

Tam w dole leży przed nimi morze, puste, czarne, bezbrzeżne. Fale biją głucho o podnóże skał ze strasznym łoskotem.

„Bądź zdrowa!“ rzekł Chan i ucałował dziewczynę.

„Bądź zdrowa!“ rzekł Alhalla i pochylił się. Ona spojrzała tam gdzie śpiewały fale i zatoczyła się w tył.

„Wrzućcie mnie“ rzekła. Alhalla wyciągnął do niej ręce i jęknął, lecz stary Chan wziął ją w ramiona, ucałował, przycisnął do piersi, podniósł wysoko nad głowę i rzucił przez skały w morze.

Tam pluskały i ryczały fale z takim hałasem, że nie słyszeli jak Kozaczka wpadła do wody. — Nawet krzyku nie było słychać. Chan runął na ziemię i prawie bezprzytomnie patrzył w dół osłupiałym wzrokiem.

„Pójdź ojcze“, rzekł Tollaik.

Chan nie ruszył się z miejsca, na którem utracił ostatnią swą radość — jeszcze chwila, a potem podniósł się dumnie i potężnie, wyprostował się i rzekł głucho:

„Poco mam żyć teraz? wszak całem mojem życiem była ona. Jestem stary — poco mam jeszcze żyć?“

„Masz sławę i bogactwa ojcze!“

„To wszystko jest martwe, tylko miłość kobiety jest żywą. Bez niej mężczyzna jest żebrakiem, a dni jego są godne litości. Bądź zdrów mój synu a błogosławieństwo Allaha niechaj ci towarzyszy zawsze i wszędzie.“

I Chan obrócił się stając twarzą ku morzu...

„Ojcze!“ rzekł Tollaik, „Ojcze!!“

Ale starzec nie słyszał. Szybkim krokiem zbliżył się nad brzeg przepaści i skoczył na dół w morze.

Syn go nie powstrzymał... I znów nic nie było słychać od morza... Ani krzyku, ani szmeru... nic.

A fale pluskały ciągle i burza wyła.

Długo patrzył Alhalla na dół, a potem rzekł:

„.... Dajże i mnie tak mocne serce, o Allah!“

Potem odszedł z powrotem w noc ciemną.

*) Między aresztowanymi z powodu zaburzeń w Rosyi znajduje się i młody pisarz, Maksym Gorkij, postać ze wszech miar interesująca. Gorkij zdobył sobie niemały rozgłos zarówno oryginalnemi utworami literackimi jak i życiem awanturniczem i cygańskiem.

Z pod stóp góry Simplon



Wieś szwajcarska, zasypana niedawno przez lawinę śnieżną.

Nasze ryciny.

Ubiegły tydzień Wielkanocny jest jeszcze żywo w pamięci wszystkich Chrześcijan. Uroczystości poprzedzające Święto Zmartwychwstania są wszędzie obchodzone przez kościół z wielką wspaniałością, gdzież jednak żałobne i radosne pamiątki Męki i Zmartwychwstania Chrystusowego mają znałeść wspanialsze uczczenie, jak na miejscach, gdzie przed dwudziestu wiekami rozegrała się tragedya Golgoty? Dajemy też dzisiaj naszym czytelnikom rycinę, przedstawiającą prócz ogólnego widoku na Jerozolimę, niektóre sceny Wielkiego Tygodnia w kościele Grobu Świętego. Kościół ten dzieli się na 3 części w których odprawiają się nabożeństwa katolickie, wschodnie i ormiańskie. W jednej z takich kaplic zwanej „kaplicą pośmiewiska“ znajduje się kawałek słupa przy którym Zbawiciel był biczowany. W Wielki Piątek lud przybywa tłumnie aby ucałować ten słup. Na rycinie widać, jak żołdak turecki, ustawiony tam dla pilnowania porządku, odpędza batem pobożnych, cisnących się tłumnie. Ostatnia część ryciny przedstawia mycie nóg 12 starcom w Wielki Czwartek, dokonywane przez archimandrytę greckiego.

Niedawno zdarzył się w Kralowym Hradcu w Czechach ciekawy wypadek, który mógł mieć jak najsmutniejsze następstwa. Mianowicie jakiś ulicznik drażnił ciągle słonia; obwożącego po mieście wóz z reklamami menażeryi świeżo przybyłej. Olbrzymiemu czworonogowi sprzykrzyło się wreszcie takie traktowanie, złapał nieznośnego smarkacza trąbą w pół i podniósł do góry. Swawolnik myślał że nadeszła jego ostatnia godzina. począł drzeć się w niebogłosy, lecz słoń potrząsnąwszy nim dobrze w powietrzu postawił go na ziemi. Nie potrzeba dodawać, że psotnik zmykał do domu co sił mu starczyło.

Reszta rycin wyobraża: wieś szwajcarską pod górą Simplon, zasypaną niedawno przez lawinę śnieżną, przyczem poniosło śmierć kilka osób i massę domów uległo zupełnemu zniszczeniu, oraz dwa widoki odnoszące się do wojny chińskiej: jeden z nich przedstawia trupy pomordowanych Chińczyków, płynące rzeką Pei-ho, drugi zaś wyobraża jeden z pałaców cesarskich w Pekinie.

Ostatnia wreszcie rycina należy do dalszego ciągu cyklu „z państwa Mikada“ zamieszczanego w poprzednich numerach i wyobraża kobiety japońskie, śpiące obyczajem miejscowym na ziemi na posłaniu z mat.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**